

A d a m N o w a c z y k

Obrona Heraklita, czyli apoteoza absurdu

Opublikowana niedawno w wydawnictwie słowo/obraz terytoria, w serii Minerva, Biblioteka Filozofii i Historii Filozofii książka Artura Przybysławskiego *Coincidentia oppositorum* jest niewątpliwie dziełem w zamierzeniu poważnym. Nawet pojawiające się w niej tu i ówdzie dowcipy wcale nie śmieszą. Powaga dzieła niewątpliwie przystoi zważywszy, iż jest to – zapewne zmodyfikowana – rozprawa doktorska obroniona na najstarszym z polskich uniwersytetów.

Coincidentia oppositorum to dzieło historycznofilozoficzne, a Heraklit z Efezu jest jego bohaterem głównym. Autor nie ukrywa, że jest miłośnikiem Heraklita, w przeciwieństwie do Arystotelesa, który go „nudzi okrutnie” (s. 8). Odczuwanie sympatii i antypatii do postaci, których twórczość jest przedmiotem dociekań historyka, uważa za rzecz naturalną i nieuniknioną, i przyznaje sobie prawo do uczuć tych ujawniania i powodowania się nimi. „Mogę sobie – pisze – na historię filozofii patrzeć, jak mi się żywnie podoba, bez nabożnej czci dla uznanych autorytetów” (tamże). Z drugą częścią tego oświadczenia w pełni się solidaryzuję i pewne moje publikacje są tego świadectwem¹, natomiast część pierwsza kojarzy mi się z hasłem Feyerabenda „anything goes”, co – jak postaram się wykazać – może mieć skutki żałosne (oczywiście w zależności od tego, co się komu podoba).

Ideą przewodnią książki Przybysławskiego jest obrona Heraklita przed interpretatorami wypaczającymi jego myśl. Okazuje się, że wypaczali ją wszyscy: od Arystotelesa po współczesnych historyków filozofii. Wypaczali ją nie tylko autorzy o nastawieniu do Heraklita krytycznym (jak Arystoteles), lecz również filozofowie powszechnie zaliczani do „nurtu heraklitejskiego”, a więc uważający Heraklita za swego prekursora (na przykład Hegel). Według Przybysławskiego Heraklit wraz z Talesem „nie mieszczą się w schemacie klasycznej filozofii europejskiej” i „wbrew bzdurnym i rozpowszechnionym interpretacjom opowiadają inną historię” (s. 12).

¹ Na przykład w: *Ćwiczenie z hermeneutyki filozoficznej*. „Edukacja Filozoficzna” nr 34, 2002, oraz *O dekonstruowaniu pojęcia tożsamości*, „Principia”, XXXIV, 2003.

Czy Heraklit rzeczywiście nie mieści się we wspomnianym schemacie? Filozofowie, dawni i współcześni, są na ogół zgodni, iż Heraklit jest autorem tezy, którą można zwięźle wyrazić słowami: *wszelka zmiana implikuje sprzeczność* – i tym stwierdzeniem włączył się on w nurt filozofii europejskiej, znajdując po dziś dzień zwolenników i przeciwników. W toku kontrowersji wokół wspomnianej tezy ukonstytuował się cały szereg stanowisk. Między innymi następujące:

- (1) Wprawdzie zmiana implikuje sprzeczność, ale sprzeczności w bycie musiałyby odpowiadać sprzeczności w myśleniu, a ta jest nie do przyjęcia. Zatem żadna zmiana nie jest możliwa (Parmenides).
- (2) Zmiana (stawanie się) rzeczywiście implikuje sprzeczność, zatem pełnych prawd (spekulatywnych) o rzeczywistości nie da się wypowiedzieć inaczej jak za pomocą zdań sprzecznych (Hegel).
- (3) Zmiana implikuje sprzeczność, ale sprzeczność ta nie jest ontologicznym korelatem sprzeczności logicznej, lecz rodzajem przeciwieństw lub przeciwstawnych tendencji (cywilizowani marksiści, np. A. Schaff).
- (4) Zmiana *nie implikuje* sprzeczności. Wszelką zmianę można opisać w sposób koherentny, tj. respektując logiczną zasadę niesprzeczności (Arystoteles i prawie cała racjonalistyczna tradycja filozofii europejskiej).

Z powyższego wyliczenia wynika, że Heraklit ma zapewnioną ważną pozycję w dziejach filozofii europejskiej i jego zasługi jako inspiratora istotnego i trwałego wątku dociekań filozoficznych są nie do zakwestionowania. Tymczasem Przybysławski usiłuje nas przekonać, że Heraklit nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, że jest postacią „z innej opowieści” – jak się okazuje – z postmodernistycznej komedii pisanej pod natchnieniem płynącym z dzieł Paula de Mana i Jacques’a Derridy. Postać ta wypowiada szereg sprzeczności, ale wyłącznie po to, aby podważyć naszą wiarę w istnienie rzeczy oraz w to, że nasz język o czymś mówi. Utrzymuje ona, że wprawdzie ma miejsce *stawanie się*, ale nawet ono musi pozostać nienazwane, ponieważ posłużenie się nazwą „stawanie” błędnie sugerowałoby, że jest to nazwa pewnego przedmiotu.

Można się zgodzić, że Heraklit i heraklitejczycy mają wiele wspólnego z postmodernizmem. Potwierdza to opinia, jaką im wystawił Platon w *Teajecie*², która przystaje do postmodernistów jak kostium szyty na miarę. Jednakże pasowanie Heraklita na prekursora współczesnego antyrealizmu daje się wyjaśnić tylko skłonnością do przedstawiania historii filozofii w sposób przez Przybysławskiego deklarowany, czyli „jak mi się żywnie podoba”.

„Ostateczną konkluzją Heraklita jest więc milczenie” (s. 9) – oto wynik wysiłków Przybysławskiego nad rozszyfrowaniem myśli Heraklita. Jak wiadomo, do tego samego wniosku doszedł znacznie wcześniej Kratylos, który sądził, że wszyst-

² Platon, *Teajtet*, XXVIII, 180b, c. Odpowiedni fragment z komentarzem można przeczytać w piątym numerze pisma internetowego „Ostrze Kwadropilotonii” na stronie Instytutu Filozofii UŁ.

ko zmienia się tak szybko, że zanim coś powiemy, już to przestaje odpowiadać rzeczywistości. Argumentacja Przybysławskiego jest niewątpliwie bardziej wyrażona i dlatego warto się jej przyjrzeć.

Punktem wyjścia jest oskarżenie Arystotelesa o negowanie „prostego faktu historycznego”. Oto Arystoteles powiada (w *Metafizyce*), że:

Jest bowiem niemożliwe, ażeby mógł ktoś sądzić, że ta sama rzecz istnieje i nie istnieje, jak, zdaniem pewnych filozofów, twierdził Heraklit.

Tymczasem – utrzymuje Przybysławski – „Heraklit rzeczywiście tak sądził, tak twierdził i tak pisał” (s. 52). Heraklit jest zatem przypadkiem obalającym ogólną tezę Arystotelesa.

Otóż Arystoteles ma rację: nikt, ani Heraklit, ani Przybysławski, nie może sądzić jednocześnie, że coś istnieje i nie istnieje, że zachodzi i nie zachodzi, że jest prawdą i nie jest prawdą. Oczywiście zdarza się, że ten czy ów wypowiada zdania sprzeczne z poczuciem „bycia przekonany”, ale wówczas albo – jak to scharakteryzował Stagiryta – „nie rozumie, co właściwie chciał powiedzieć”, albo sądzi coś, co można wypowiedzieć w inny sposób, już bez sprzeczności. Kiedy – na przykład – ktoś na pytanie „Czy Olek ma ukończone studia wyższe?” odpowiada „I tak, i nie”, wiemy, co chciał powiedzieć i potrafimy to wyrazić bez sprzeczności. Przykład ten jest ilustracją powszechnie stosowanej – również przez większość historyków filozofii – następującej „maksymy konwersacji”: kiedy jesteśmy przekonani, że nasz rozmówca chce nam powiedzieć coś istotnego, a posłużył się zdaniami jawnie sprzecznymi, poszukujemy dla jego wypowiedzi parafrazy wolnej od sprzeczności.

Przybysławski utrzymuje, że Arystoteles nie starał się zrozumieć Heraklita. W tym punkcie ma rację: Arystoteles założył, że Heraklit, posługując się zdaniami sprzecznymi, nie ma nam nic do powiedzenia. Natomiast uważa, iż Arystoteles posądza Heraklita o „najgłupszy błąd logiczny, którego nie robi nawet niedouczony student pierwszego roku filozofii” (s. 52), domaga się wyjaśnienia. O jaki błąd logiczny tu chodzi? Przybysławski ma zapewne na myśli „nierespektowanie zasady sprzeczności”, co – jego zdaniem – jest „najgłupszym zarzutem, jaki można mu [tj. Heraklitowi] postawić” (s. 54). Otóż jeśli nierespektowanie zasady sprzeczności polega na uznawaniu sądów sprzecznych, to zarzut taki pod adresem Heraklita sformułował mimochodem sam Przybysławski, utrzymując, że ów *rzeczywiście sądził*, iż dana rzecz istnieje i nie istnieje. Natomiast Arystoteles miał za złe Heraklitowi tylko to, iż ów dla wyrażenia swoich poglądów posługuje się zdaniami sprzecznymi, które się do tego nie nadają.

Założmy, że wbrew temu, co Przybysławski wcześniej (na przekór Arystotelesowi) uznał za fakt historyczny, nie imputuje on Heraklitowi sprzecznych przekonań. Wszak utrzymuje, że należy zastanowić się nad intencją, która kryła się

za „sprzecznościami powracającymi w jego myśli z zadziwiającą konsekwencją” (s. 52).

Zatem jakąż to intencja kryła się za wypowiedziami Heraklita? Jakąż to myśl pragnął on nam zakomunikować za pomocą zdań sprzecznych? Przybysławski utrzymuje, że myśl tę, nieznaną wszystkim wcześniejszym interpretatorom spuścizny Heraklita, odkrył. Jest to myśl nader prosta: *żadne przedmioty nie istnieją*.

Przecież konsekwentnie przez Heraklita stosowana sprzeczność ma faktycznie komunikować nieistnienie przedmiotów (s. 55).

Chociaż autor wyjaśnia, że chodzi o przedmioty konkretne, Arystotelesowskie substancje, wkrótce okazuje się, że termin „przedmiot” został tu użyty w możliwie najogólniejszym znaczeniu. Przedmiotem ma być wszystko, do czego mogłoby się odnosić wyrażenie będące podmiotem zdania. Dlatego – zdaniem Przybysławskiego – z tezy, iż żadne przedmioty nie istnieją, wynika, iż słowa do niczego się nie odnoszą.

Nasuwa się pytanie: dlaczego dla wyrażenia tak prostej tezy (przypominającej tezę „Nic nie istnieje” przypisywaną sofście Gorgiaszowi) potrzebował Heraklit kolekcji zdań sprzecznych? W książce Przybysławskiego czytamy:

W Heraklitejskim dyskursie sprzeczność jest uprawniona właśnie dlatego, że sam przedmiot jest wewnętrznie sprzeczny, a więc nie istnieje, bo unicestwia go strumień stawiania się (s. 55).

Przy możliwie życzliwej interpretacji tego cytatu sugeruje on, że Heraklit rozumował następująco:

Wszystko się staje, czyli podlega zmianom.

Przedmiot, który podlega zmianom, jest wewnętrznie sprzeczny.

Żaden przedmiot nie jest wewnętrznie sprzeczny.

Zatem: żaden przedmiot nie istnieje.

Przypisywanie Heraklitowi jakichś ścisłych rozumowań jest oczywiście aktem arbitralnym, usprawiedliwionym tylko wtedy, gdy zmierzamy do „racjonalnej rekonstrukcji” jego myśli. Ale wówczas należałoby zauważyć, że przedmiot, który podlega zmianom, jest przedmiotem trwającym w czasie i Heraklit zapewne wyłącznie takie przedmioty miał na myśli. (Istnienie przedmiotów odwiecznych i niezmiennych odrzucał, a na pomysł przedmiotów „momentalnych” było zdecydowanie za wcześnie). Gdyby zatem Heraklit rozumował w przedstawiony powyżej sposób, to jego wniosek miałby rzeczywiście charakter ogólny.

Czy wniosek ten jest tezą, którą można zasadnie przypisać Heraklitowi? Przybysławski bardzo oszczędnie cytuje Heraklita, ale przytacza znane zdanie: „Do tych samych rzek wступujemy i nie wступujemy; jesteśmy i nie jesteśmy”. Czyż nie mówi ono o rzekach i o nas, czyli ludziach? A rzeki i ludzie to przecież przed-

miot. Według Przybysławskiego jest to tylko pozór. Rzeka, do której wступujemy powtórnie nie jest już tą samą rzeką, a ten kto do niej wступuje, nie jest już tym samym człowiekiem. Rzeka (na przykład Kaystros w ojczyźnie Heraklita) i człowiek (na przykład sam Heraklit) to przedmioty, które nie zachowują tożsamości w czasie, a co nie zachowuje tożsamości, nie jest przedmiotem. Wynika stąd, że po powtórnej kąpieli w rzece Kaystros Heraklit nie byłby w stanie udzielić żadnej rozumnej odpowiedzi na pytanie, kim (czym) jest i w czym się kąpał. No i o to chodzi: Heraklit, i my za jego przykładem, powinniśmy zamilknąć.

W rzeczywistości problem, z którym zmagał się Heraklit, ma rozumne rozwiązanie – i to nie jedno. Możemy utrzymywać, że Kaystros i Heraklit zachowują tożsamość, bo wszak kiedy zmieniają się, to wprawdzie przysługują im przeciwne cechy, ale nie w tym samym czasie, zatem nie ma sprzeczności w tym, iż Heraklit jest po kąpieli mokry, a w chwilę po tym suchy. Można również utrzymywać, że Kaystros-w-chwili-*t* i Kaystros-w-chwili-*t'* to nie to samo, ale wówczas mówimy nie o rzece, lecz o jej przekrojach czasowych, i nie rzekę, lecz jej przekroje uznajemy za indywidua. A czym jest wówczas rzeka Kaystros? Jest zbiorem albo sumą mereologiczną swoich przekrojów czasowych. Rozwiązanie pierwsze jest bardziej naturalne, ale również drugie nie implikuje sprzeczności. Niestety, byli, są i zapewne będą filozofowie, którym żadne racjonalne rozwiązanie problemu Heraklita nie trafia do przekonania.

Przybysławski stara się uwolnić Heraklita od zarzutu, iż mówi on coś o przedmiotach, istnieniu których zaprzecza. Jest to – jego zdaniem – zarzut niesłuszny, ponieważ Heraklit stara się, na ile to możliwe, używać zdań bez podmiotów.

Dlatego właśnie – pisze Przybysławski – Heraklit powie „Do tych samych rzek wступujemy i nie wступujemy; jesteśmy i nie jesteśmy”, a nie „Do tych samych rzek *my* wступujemy i nie wступujemy; *my* jesteśmy i nie jesteśmy (s. 74).

Dalibóg, ja sędzę, że jesteście przedmiotami, a jakoś nie widzę potrzeby mówienia, że to *my* jesteście przedmiotami, skoro zaimek „*my*” jest w tym kontekście redundantny. Ponieważ grecki jest pod tym względem podobny do polskiego, nie sędzę, aby Heraklit miał jakieś inne powody pomijania zaimków osobowych.

A jednak Przybysławskiemu udało się znaleźć wypowiedź Heraklita, w której nie ma podmiotu, choć z gramatycznego i semantycznego punktu widzenia wydaje się on tam niezbędny. Jest to zdanie „Przemieniając się wypoczywa”. Narzuca się oczywiście pytanie: kto lub co wypoczywa? „Lecz właśnie na to pytanie – pisze Przybysławski – Heraklit nie mógłby odpowiedzieć, bo nie ma żadnego »co«, nie ma żadnego »kto«” (s. 73).

Załóżmy – chociaż Przybysławskiemu byłoby trudno to uzasadnić – że Heraklit przeczy istnieniu przedmiotów i wobec tego musi „radzić sobie [...] ze zmianą, która nie jest zmianą czegoś” (s. 72). Trudności, jakie napotyka, biorą się stąd,

że gramatyka naszego języka dopasowana jest do ontologii substancji reprezentowanej przez Arystotelesa. Czy w tej sytuacji trzeba – jak konkluduje Przybysławski – zamilknąć? Moim zdaniem – niekoniecznie. Wszak on sam wskazuje rozwiązanie mniej radykalne: trzeba ograniczyć się do zdań autentycznie bezpodmiotowych. Znamy wiele takich zdań: „Dnieje”, „Ściemnia się”, „Oziębilo się”, „Robi się gorąco”. Słyszac je, przecież nikt nie pyta „kto?”, „co?”. Zdania takie nie postulują istnienia przedmiotów, więc Heraklit Przybysławskiego mógłby z nich korzystać, a tym samym miałby jednak coś do powiedzenia.

Znany filozof amerykański Willard Van Orman Quine prowadził dociekania nad ontogenezą ludzkiego języka. Zauważył, iż pierwsze słowa wypowiedziane przez dzieci, takie jak „mama”, „mleko”, „pies” itp., są w istocie prostymi zdaniami okazjonalnymi pozbawionymi struktury wewnętrznej w postaci podmiotu i orzeczenia, a więc takimi jak przytoczone powyżej przykłady. Dopiero na dalszym etapie rozwoju osobniczego pojawiają się w naszych wypowiedziach wyrażenia zwane przez Quine’a „zaimkami istotnymi”, którym w symbolice logicznej odpowiadają zmienne związane. To właśnie owe zaimki są „miejszem narodzin reifikacji, a zatem całej ontologii”³. Korzystając ze wspomnianych zaimków, końcówek liczby mnogiej i innych akcesoriów gramatycznych, zaczynamy mówić o przedmiotach. Opanowujemy posługiwanie się zwrotami „ten sam” i „inny”. Tak wzbogacony język pozwala nam zdobywać niezbędną wiedzę o świecie i o nas samych.

Język z wmontowaną weń reifikacją jest zapewne tym, co wyróżnia nas z reszty świata zwierzęcego. Zatem Kratylos, który doradzał nam zamilknąć i tylko kierować uwagę na interesujące nas zjawiska przez wskazywanie palcem, proponował nam powrót do stanu dzikości. Wykreowany przez Przybysławskiego Heraklit proponuje nam powrót do wczesnego dzieciństwa.

Z zachowanych fragmentów i relacji starożytnych wyłania się obraz Heraklita jako człowieka wyniosłego, wypowiadającego się w sposób aforystyczny, świadczący o szczególnym upodobaniu do paradoksów. W jego wypowiedziach nie dostrzegamy choćby śladu troski o komunikatywność, toteż zasłużył sobie na określenie „ciemny”. W tym stanie rzeczy próby „właściwego” odczytania jego myśli i intencji, jak również próby podważania istniejących interpretacji, są przedsięwzięciem niestosownym. Natomiast aforyzmy Heraklita niewątpliwie były i – jak widać – są nadal źródłem inspiracji w przedsięwzięciach zmierzających do sformułowania własnego stanowiska i osadzenia go w pewnej filozoficznej tradycji. Tak właśnie posłużył się Heraklitem Przybysławski: proszę, już Heraklit pokazał, że ów nudny Arystotelesowski dyskurs nie jest powszechnie obowiązujący, że można przeciwstawić się „arystotelesowskiemu przyzwyczajeniom, które każą nam zakładać, że język mówi o czymś”, że można podważyć naszą „naiwną wiarę w istnienie rzeczy” (s. 9). Sądzę (jak mniemam, nie bezpodstawnie), że stanowi-

³ W.V.O. Quine, *Od bodźca do nauki*, Aletheia, Warszawa 1998, s. 54.

sko bliskie Przybysławskiemu, które stara się podeprzeć autorytetem Heraklita, trafnie, choć krótko i dosadnie, scharakteryzował Leszek Kołakowski w swojej *Wielkiej encyklopedii filozofii i nauk politycznych* pod hasłem „dekonstrukcjonizm”: „że co by się nie mówiło, to i tak nic to nie znaczy”⁴.

Jeśli cokolwiek mówimy, nic to nie znaczy, to nie ma powodu, by konserwować granicę między logicznością i nonsensem, więc Przybysławski śmiało ją przekracza w swoich refleksjach nad zasadą tożsamości. W rozdziale pod intrygującym tytułem „Filozofia od A do A ” podejmuje i rozwija wątek, który pojawia się w tekście Heideggera *Zasada identyczności*. Heidegger pisze:

Co powiada formuła $A = A$, w której zwykło się prezentować zasadę identyczności? Formuła nazywa równość A i A . Do równości należą co najmniej dwa elementy. Jedno A jest równe drugiemu. Czy zasada identyczności to chce powiedzieć? Oczywiście nie. [...] Aby coś mogło być tym samym, wystarczy zawsze jedno. Nie trzeba dwóch elementów, jak w przypadku równości.

Znając negatywny stosunek Heideggera do logiki, a zwłaszcza do „logistyki” będącej jej „konsekwentnym wynaturzeniem”, można zrozumieć, a nawet usprawiedliwić fakt, iż nie dostrzegał on istotnej różnicy między znaczeniem formuł $A = A$ i „Jedno A jest równe drugiemu A ” (nawet przy założeniu, że znak $=$ czytamy jako „jest równe”)⁵. Natomiast Przybysławski, pomimo ukończonego (zapewne dwuletniego) kursu logiki, dał się zwieść Heideggerowi i powtarza z uporem, że formuła $A = A$ „podwaja przedmiot”, „wprowadza w przedmiot różnicę”, ponieważ „stawia przed oczami dwa A ” (s. 83). „Trudno więc nie zgodzić się z Heideggerem, że tożsamość jest związkiem, połączeniem, zapośredniczeniem odwołującym się do różnicy w łonie tego samego” (s. 84). A wszystko to dlatego, że „formuła $A = A$ uporczywie podsuwa dwa A tam, gdzie powinno być tylko jedno A ” (s. 83).

Cóż to nam owa formuła „uporczywie podsuwa”? Dwa przedmioty oznaczane tą samą literą A ? Jakie to przedmioty? Otóż jedyną rzeczą podwojoną podsuwaną nam przez formułę $A = A$ są dwa egzemplarze tej samej zmiennej indywidualnej A . W formule $A = A$ jest ona zmienną wolną reprezentującą przedmioty, co pozwala podstawiać za nią imiona własne owych przedmiotów, ale tylko w sposób konsekwentny, tzn. to samo imię za wszystkie jej egzemplarze.

Posługując się zmiennymi wolnymi, formułujemy tezy ogólne; podstawiając za zmienne – uzyskujemy ich konkretyzację. Przybysławski, posługując się literą A , nadaje swym wywodom charakter ogólny. Każdy wywód, który ma walor ogólny (jest sensowny, trafny lub po prostu „do przyjęcia”), powinien go zachować przy

⁴ L. Kołakowski, *Moje słuszne poglądy na wszystko*, Znak, Kraków 1999, s. 422.

⁵ W formule $A = A$ za zmienną A można podstawiać nazwy indywidualne, w tej drugiej nazwy generalne. Ta druga istotnie nie jest właściwym sformułowaniem zasady identyczności.

każdej dopuszczalnej konkretyzacji. Konkretyzację można zatem potraktować jako test, czy wywody ogólne wspomniane walory posiadają⁶.

Rozważmy następujący fragment książki Przybysławskiego:

„Aby stwierdzić tożsamość *A* ze sobą, musimy je podwoić, a następnie stopić w jedność, podwajając zaś, odróżniamy *A* od samego siebie, czyli od *A*. Formuła $A = A$ mówi o dwóch *A*, które jednak są jednością, a więc jednym *A*. W samym zapisie mamy to samo *A*, ale niejako w dwóch osobach – po dwóch stronach równania. Można by powiedzieć, że nawet w trzech, bo formuła $A = A$ mówi przecież o jednym *A*, o *A* rozumianym jako $A = A$, czyli $A = [A: A = A]$. Ostatecznie zatem wyrażenie identyczności ewokuje również różnicę, a więc mówiąc $A = A$, mówi się również $A \neq A$ ” (s. 89).

Jest to jeden z kilku fragmentów rozdziału „Filozofia od *A* do *A*” o podobnej treści i podobnym stylu.

Załóżmy, że „Artur” oznacza wyłącznie autora książki *Coincidentia oppositorum* (która ma wszak dokładnie jednego autora), i dokonajmy w przytoczonym fragmencie odpowiedniego podstawienia za zmienną *A*. Oto, co otrzymamy:

Aby stwierdzić tożsamość *Artura* ze sobą, musimy go podwoić, a następnie stopić w jedność, podwajając zaś, odróżniamy *Artura* od samego siebie, czyli od *Artura*. Formuła $Artur = Artur$ mówi o dwóch *Arturach*, którzy jednak są jednością, a więc jednym *Arturem*. W samym zapisie mamy tego samego *Artura*, ale niejako w dwóch osobach – po dwóch stronach równania. Można by powiedzieć, że nawet w trzech, bo formuła $Artur = Artur$ mówi przecież o jednym *Arturze*, o *Arturze* rozumianym jako $Artur = Artur$, czyli $Artur = [Artur: Artur = Artur]$. Ostatecznie zatem wyrażenie identyczności ewokuje również różnicę, a więc mówiąc $Artur = Artur$, mówi się również $Artur \neq Artur$ ”.

Przedstawiona tu konkretyzacja ujawnia taką liczbę sprzeczności w wywodzie Przybysławskiego, jakiej nie powstydziliby się sam Heraklit. Ufając Arystotelesowi, sądzę, że autor nie mógłby tego głosić z przekonaniem, zatem konkretnych konsekwencji swoich abstrakcyjnych wywodów po prostu nie zauważył. A to oznacza, że – jak to zwięźle ujął Stagiryta – „nie rozumie, co właściwie chciał powiedzieć”.

Narzuca się pytanie, czemu taki karkołomny wywód ma służyć? Dowiadujemy się, że ma on ukazać „problematyczność tożsamości”, chociaż jej „nie znosi”, gdyż nie można jej konsekwentnie „zanegować w imię różnicy”. „Próba negacji tożsamości pokazuje, iż paradoksalnie jest ona tożsamości potwierdzeniem” (s. 90). Więc może lepiej byłoby tożsamości nie negować?

⁶ Taką konkretyzację jako test sensowności zastosował Bogusław Wolniewicz do tekstu W. Descombesa traktującego o koncepcji „pierwotnego opóźnienia” J. Derridy. Zob. B. Wolniewicz, *O sytuacji we współczesnej filozofii* w: J. Pelc (red.), *Język współczesnej humanistyki*, BMS, Warszawa 2000.

Na czym polega *proton pseudos* przedstawionych tu wywodów? Po prostu na bezpodstawnym założeniu, że zdanie „Artur = Artur” mówi o dwóch Arturach. Dlaczego dwóch? Czy dlatego, że imię „Artur” powtarza się dwa razy? A w całym przytoczonym powyżej tekście powtarza się dwadzieścia jeden razy. Czy oznacza to, że mówi się w nim o dwudziestu jeden Arturach? Wszak ogólną i w praktyce niezbędną zasadą interpretacji tekstów jest założenie, że z reguły (poza przypadkami wieloznaczności) powtarzające się w danym tekście nazwy oznaczają to samo. A jeśli – jak utrzymuje stworzony przez Przybysławskiego Heraklit – słowa niczego nie oznaczają, to o co w tym wszystkim chodzi?